



Alfred Grabowski

część II z II

Sygnatura notacji: **N0889**
Data urodzenia: **13.06.1925 r.**
Data nagrania: **20.01.2015 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Marcin Łaszczyński**
Czas nagrania: **część I: 72 min, część II: 49 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Alfred Grabowski: Kilkunastu mężczyzn, zawieziono nas i jeszcze jechaliśmy przez ulicę Towarową, Zamoyskiego, i jadąc, patrzyliśmy, że te takie, powiedziałbym, resztki magnackiej fortuny po tych defiladach różnych, tych sztandarów, nie sztandarów, jakichś tam porwanych papierów czy tam napisów. W każdym razie widać było wyraźnie, że to po uroczystościach świeżutkich jechaliśmy. I zawieziono nas do Rembertowa, to już taka szarówka była. I co było charakterystyczne dla mnie wówczas? Jak ciężarówka stanęła przed bramą i przed furtką, bo przy bramie była furtka, i ten oficer, dowódca konwoju, wyszedł z szoferki, poszedł do... to była otwarta ciężarówka, siedzieli tylko czterech bojów na tych kątach, a myśmy siedzieli tak na podłodze, i poszedł do komendantury, to ja zobaczyłem, że obok parkanu jest tor kolejowy. I do tego toru kolejowego dobiega rów typowy dobiegowy. To było widać, bo to biały piasek był. A tam były takie kępy, ja wiem, koło 100 metrów co najmniej, może więcej nawet, 100–150, to były takie kępy właśnie jakichś takich dziwnych zarośli, to nie były jakieś krzaki sadzone, tylko taka dziczyna. I dopiero za tym były chałupki, chatki takie. Z jednym spadem dachu na jedną stronę, takie biedadomy, tak bym to określił, i myślę sobie: „O, rów dobiegowy? Tutaj?”. I potem się dopiero przy odbijaniu okazało, jaką funkcję spełnił. Z rowu dobiegowego strzelano, enkawudziści dobiegli i strzelali z CKM-u, czyli z „diwktierowa”, na bramę. Bo brama była tutaj, a oni byli stąd 30, może 50, może 25, nie potrafię dokładnie dzisiaj określić. Strzelali i tam koło trzydziestu-czterdziestu osób zabili na samej bramie. A brama była oświetlona taką... taki talerz płaski i żarówka pod tym. Dzień i noc się paliło. Znaczący dzień to nie, ale w nocy się paliła i nie zgasiła tego. Bo oddział odbijający, rozbijający ten obóz miał jedyny wskaźnik, którądy wyjść. No niestety żadnej innej drogi ewakuacyjnej dla więźniów nie zrobiono i jak ja potem tutaj na korytarzu..., jak wybiegliśmy i ten enkawudzista, kapitan, strzelił do Wieśka... Znaczący on strzelał do nas, tam nas było z pięciu, czterech może, i najwyższym, metr dziewięćdziesiąt parę, dostał tu, w łuk brwiowy, prawy. Ale przeżył.

I z Poznania wyszedł. W każdym razie w rejestrze tym rawiczańskim jest podany. Mnie tam podano jakieś oddziały i nie wiem, czy to prawdziwe czy nieprawdziwe, nie potrafię powiedzieć dzisiaj już. W każdym razie do Rawicza, jak przyjechała komisja, to przedstawiono mi protokół, a właściwie wyrok sądu, pisany po rosyjsku na takim kremowym papierze, zielonym atramentem, bardzo wprawnym piśmem. Nigdy dokumentu... I podobno mój podpis był. Ja powiedziałem: „Niech pan zobaczy, ile pan ma tych protokołów, na żadnym się tak nie podpisałem”. I on porównał i zgłupiał. Ja mówię: „Panie, ja osiem lat dostałem”

Marcin Łaszczyński: „No tak, ale to dziś nieważne, bo to to, bo to tamto”. A ten Tolek, ten ubowiec, komendant łódzkiego UB, dawał nam wyroki, kto, co, za ile. No bo on miał...

Alfred Grabowski: Prawo. On to realizował.

Marcin Łaszczyński: I sprawdziły się?

Alfred Grabowski: Tak. I ja mam taką książeczkę o tych właśnie, że później trochę podwyższono, z ośmiu... jak nie było nic, to osiem lat, jak było coś, to tam dwadzieścia pięć, tak średnio. Tak żeby się człowiek nie nudził. Ale jakiś zarzut sformułowali na wyroku? Nie wiem. Ja rosyjskiego nie znałem. A ten mi nie powiedział. Mówię: „Niech pan powie, co tam jest” – „A nie, wie pan, to nieważne, już dzisiaj to... Do zwolnienia pan idzie, to jest”... To co, miałem się pchać? Czyli do 1956 roku? Nie. Ja wyszedłem w 1945 roku, w październiku. Ale w każdym razie jeszcze bardzo ciekawe zaszłości były w Poznaniu. Że jak nas wieziono do Poznania, to najpierw pociąg pojechał na wschód, płacz, najbardziej twardzi płakali jak bobry. Ja jakoś nie byłem..., mnie to nie załamywało, jakoś dziwnie, nie wiem, dlaczego, ale... W każdym razie pociąg potem: „bu, bu, bu, bu”, to było około pięćdziesięciu wagonów. I zmiana kierunku, i pojechaliśmy w drugą stronę. Ja się patrzę, dworzec wschodni widzę. I ta linia kolejowa, tu są tory dworca wschodniego, a my tu ich mijamy, potem, patrzę, Wisła, Cytadela, to ja od razu przygotowałem kartki dwie i jedną wyrzuciłem... były te przejazdy ze szlabanami na ulicy Felińskiego, przecinała tory kolejowe, tam był przejazd, a drugi był na ulicy Burakowskiej, na poziomie torów. I ja wyrzuciłem i na jednym przejeździe, i na drugim. Proszę sobie wyobrazić, następnego dnia o 7:00 rano matka miała już kartkę moją. Więcej, kolejarz powiedział, na który dworzec przyjechaliśmy w Poznaniu. A te panie czy rodziny, które przychodziły do Rembertowa, to już komunikowali się, najbliższej mieszkający ze sobą i łańcuszek. I po paru dniach ferajna już jest, ze trzydzieści parę osób. Wtedy wojewodą był [Felix] Widy-Wirski. To był taki ludowiec, potem był w PZPR-rze, był w PPR-ze, a potem w PZPR-ze, mam jego nawet te dossier, z internetu. Tam je wnuczki ściągnęły. W każdym razie nachodziły tego pana Wirskiego, „A, tu nie ma żadnych, nie ma, nie ma” – „Panie, jak to nie ma? Tu i tu jest”. I tam... Inaczej. Obóz, do którego nas przywieziono, tam było 10 tysięcy Niemców, w tym tysiąc kobiet, Niemek. Ja trafiłem do baraku... Znaczą najpierw nas trzymano w polskich barakach, trzech czy czterech, i byliśmy od strony ulicy Hozjusza. Od południa. Bo tory kolejowe, dojeżdżało się „trójką” do Grunwaldzkiej i tam był ten Ausstellungsplatz, wioska wystawowa. Zbudowali ją Niemcy podobno w 1940 roku. To były te typowe baraki niemieckie. Znaczą wewnątrz aranżowane było na hotelowce, jedno i dwumiejscowe. To było dla potrzeb przemieszczających się, bo oni się szykowali na wojnę z ruskimi, więc przemieszczających się wojskowych, urzędników i tak dalej. I była taka restauracja tej wioski wystawowej, żeby ci ludzie tam od razu się żywili na miejscu. Ogromne, wielkie gmaszdyło takie, kuchnia, a z drugiej strony sala restauracyjna, i w środku taka jakaś wieża była. I to jeszcze stało, jak myśmy tam byli.

Te baraki stały i ta knajpa. I tam gotowano dla obozu. Ale tam był luksus. Bo już były kartofle w zupce, a mnie się nawet trafiły ze trzy razy takie plasterki kiełbasy zwyczajnej. Pojedyncze plasterki na tę miskę, czy tam właściwie to były po konserwach takie puszki. W każdym razie tu, gdzie byliśmy, w Rembertowie, to takich rzeczy nie było. Tam kartofle, ten... Myśmy byli żywieni przez naszych młynarzy. Oficer, enkawudzista brał młynarza, kilkunastu ich było, czy kilku, czy kilkunastu, jechał pustym samochodem, ciężarówką taką trzy- czy pięcioletnią, i dwa dni ten młynarz przebywał z rodziną, za co ładował pełny pięcioletni samochód, ciężarówkę. Te „Zisy” czy „Ziły” jeździły takie duże, nie te fordowskie, tylko te już cięższe takie, 3 czy 5 ton, nie wiem. I one jechały takie..., resory były nie tak, tylko już obwisłe. I przyjeżdżali, to potem ziarno na takich młynkach, jak te młynki w restauracjach były kiedyś do kawy, do mielenia, te wielkie takie młynki, no to na tych młynkach kręcili tam ci ruscy przeważnie, i tę taką śrutę rozgotowywano trochę, i jak był..., dostawaliśmy pół litra, to na tym było, ja wiem, że 4, może 5 milimetrów na dzień tej śruty. I taka kluszcanka z tego powstawała, i to się wypijało, to był tak zwany obiadek, a rano to była jakaś taka z jakichś liści wiśniowych czy innych herbatka leciutka i do tego ćwiartka podobno chleba. Tylko tę ćwiartkę, jak ja zgniotłem, bo matka przyniosła na furaz, jak ja to nazywałem, i ja tam oddawałem przeważnie komuś, ale raz mi jakaś kostka gdzieś zapodziała, ta kotska to wyglądała tak troszeczkę..., o tak, o. To było tyle, ćwierć kilo podobno. I to był taki czarny chleb, jak ja to zgniotłem i się wysuszyło, to była taka kostka dwa na dwa na dwa. Tyle tego chleba tam było. A reszta to woda. W każdym razie kolacja to już była tylko herbatka, żeby do snu nie przeciążać żołądka, no i tak sobie wegetowaliśmy. Kto pomoc miał z rodziny, to żył, kto jej nie miał, to często umierał. I właśnie tam była nawet taka grupa, jakieś Schwarzmeerdeutsche czy Balten-deutsche, tych Niemców bałtyckich czy czarnomorskich, nie wiem, gadali taką jakąś gwarą, która przypominała trochę niemiecki język. Ale próbowałem... ja nieźle nawet mówiłem, bo od pierwszej gimnazjalnej się uczyłem, sześć lat, nieźle mówiłem, no i rozmawiając po niemiecku... oni mnie nie rozumieli, a jak oni mi odpowiadali, to ja ich nie rozumiałem. Więc to nie był absolutnie niemiecki język. Być może to ta niemczyzna taka zdezolowana po paruset latach obczyzny, że mieszanka miejscowego języka plus niemiecki dawny. W każdym razie ci ludzie umierali. Dziennie średnio wynoszono w Rembertowie dwie do pięciu osób. Po rozbiciu obozu tych złapanych, bo złapano, ja doliczyłem się 283 czy 285 osób, ale na pewno wszystkich nie widziałem. W każdym razie doliczyłem się ponad 200 osób z 550, które uciekły, bo z kolei wyprowadziłem tę ilość ze stanu w dniu 20 wieczorem, jak nas wypuszczono z tych zamkniętych na skoble, na sztaby, drzwi, pootwierano te sztaby, otwierano drzwi i wypuszczono na apel. To był około 1950, około. A rano na apelu, dwudziestego pierwszego, jak pan generał NKWD przyjechał i apel przeprowadzał, to było 1380, może 1400 niecałe. Ale ja nie wiem ilu było już złapanych, ilu było w szpitaliku. Szpitalik. To była taka buda trochę większa niż ten pokój. Dechy takie, że o, zabite czarną papką. I jeszcze jeden człowiek zapamiętał właśnie ten szpitalik, który się mieścił na środku, już tam w tej części gospodarce. Jeszcze w jednym protokole jest zaznaczone, że była ta buda prześwietlająca taka. Bo ja tam odwiedziłem inżyniera, on w cholewach chodził. I bito w podbicie. Pod piętę. I wtedy noga puchnie, a cholewa nie pozwala i gangrena, obcięto mu, jedno przed kolaniem, drugie nad kolaniem. I on tam leżał, ja go odwiedziłem. W każdym razie nie wiem, czy przeżył, czy nie przeżył. Tych, których sprowadzano, bito okrutnie. Do tego stopnia, że pan Chudzikowski miał głowę rozwaloną tak, że tutaj skóra z kawałkiem gości tak pulsowała. To było widać. I ja, jak wyszedłem już z Rawicza, przypadkowo go spotkałem, bo ja tam do księgarni Gebertner i Wolf poszedłem, na ulicy Targowej, przy samym bazarze, była narożna księgarnia i obok była taka cukierenka, taka jakaś tam..., parę ciasteczek, parę jakichś cukierków, tam czekolad nie było wtedy. W każdym razie jego żona prowadziła i on tam był. I ja, przechodząc, patrzę, jest pan Chudzikowski. Akurat jak... Charakterystyczny, że właśnie to pulsowało mu, to zapamiętałem go. Wszedłem: „Dzień dobry panu” – „A dzień dobry, dzień dobry”. No i zaczęliśmy rozmawiać. Ale po kil-

ku miesiącach zajrzałem tam i żona powiedziała, że mąż zmarł. No wtedy nie operowano takich rzeczy. A przynajmniej nie tym ludziom. Tak że te losy były bardzo różne, bardzo ciężkie. Kolegę mojego, który przypadkowo przyjechał do swojej ciotki, Wiesław Borecki, on był starszym kolegą mojego przyjaciela, z którym chodziłem od pierwszej klasy do matury, na kompletach już w maturę, ze starszym o dwa lata bratem, i studiował fizykę, niezwykle zdolny. Ten mój kolega skarżył się, że on w nocy wstaje i rozwiązuje zadania. Znaczący on sobie rozwiązał w głowie i wstawał, i pisał to, co rozwiązał. To był jeden z najzdolniejszych widocznie ludzi. W każdym razie on zachorował, był na jakichś ćwiczeniach akowskich, złapał zapalenie płuc i płuca, wysłano go do Otwocka na leczenie, w powstanie jeszcze sobie pogorszył, bo podjechał z kolegą na motocyklu, już do Warszawy był wstęp zabroniony, niedostępna była już Warszawa. Wrócili tam, ale on się w nocy przeziębził, bo leżeli w polu, i pogorszyło mu się, i on przyjechał na Żoliborz, mieszkali na ulicy Słowackiego, róg Suzina, zobaczył, że mieszkanie jest spalone, i pojechał do ciotki swojej na ulicę Żeligowskiego w Rembertowie, blisko obozu. I jak NKWD robiło po rozbiciu obozu obławę, to go zgarnęli. No i dostał łomot, ciężko to przeżył, jakoś tej rodzinie udało się udowodnić, bo tam mieszkali enkawudziści, u tej ciotki czy babki, takiej ciotecznej jakiejś... i zwolnili go, ale wrócił i po pięciu dniach zmarł. Nie wytrzymał rozmów kulturalnych, na wysokim poziomie. W każdym bądź razie losy ludzi były bardzo, bardzo dziwne. Po odbijaniu ilość umierających dziennie wzrosła z dwóch do pięciu, gdzieś pięć, cztery, pięć do sześciu. Codziennie wynoszono z tej kwarantanny, z tego budynku kwarantanny, który do dziś istnieje, wynoszono zabitych. Znaczący zmarłych. A zmarli byli w wyniku łomotu, jaki dostali. W każdym bądź razie w Poznaniu, jak te rodziny przyjechały, tam za trzy dni byliśmy w tych polskich barakach, osobno, i ktoś dowcipny z tych przyjezdnych... Od ulicy Hozjusza stała taka willa. I dół tej willi, jak się dowiedziałem właśnie z tej książki o tym obozie, parter tej willi, zajmował komendant tego obozu, enkawudzista. Natomiast na piętrze mieszkali dawni właściciele, Polacy. To byli właściciele jakichś piekarni, czy coś takiego. I oni udostępniłi tym Polakom, i moja matka na przykład, jak była willa i tutaj był ten taras, pod nią, znaczący na parterze, a tu było takie wyjście, znaczący taki taras, pod którym zabudowane to pomieszczenie było, a tu, na piętrze, był taras. I matka moja wstała w głębi drzwi, tak że bojcy [ros. wojacy] ani z jednej, ani z drugiej strony nie widzieli, to było to ulicy Hozjusza, myśmy mieli takie swoje znaki, doskonale się rozumieliśmy, co i jak, w każdym razie kontakt z matką nawiązałem, wiedziałem, że jest, wiedziałem, że czuwa, ale paczek nie przyjmowano dla nas. O ile w Rembertowie paczki były dozwolone, o tutaj absolutnie nie. Bali się, że tam w tych paczkach może coś do nas trafiać niepotrzebnego, dla nas. W każdym razie ktoś rzucił jabłkiem i włożył w jabłko taki zwitek papieru: „Nie denerwujcie się, niedługo wróćcie do domu”. Rzucił to, a ponieważ na tej posesji przy samym płocie rosła taka wielka jabłoń, jabłko trafiło w gałąź, spadło między płoty, te parkany obozowe, bojec zobaczył, zszedł, wziął, zawołał oficera, przyszedł politruk no i ruga. Apel. Zebranie, obrugał nas, że wtorej raz [ros.], nie będzie drugi raz Rembertowa już. W każdym razie rozrzucili nas po wszystkich barakach. Po ośmiu, dziesięciu, dwunastu, różnych barakach. No i co najgorsze, tym Niemcom kazali nas pilnować. Co było bardzo dolegliwe dla nas, ze względu na sytuację powojenną. Ale trzy-cztery dni i ci Niemcy się zblatowali, i z nami już... nie zwracali... Ponieważ te baraki były ustawione w takim układzie jeden za drugim, takie szeregi po kilka sztuk, nie wolno nam było wyjrzeć, żeby z kolegą z tego baraku... tu było wyjście na tę stronę i nie wolno mi było wyjrzeć tutaj, żeby się z kolegą z następnego czy z następnymi baraków zobaczyć. Po czterech dniach, kiedy nas ciągnęli za rękaw i odciągali, już czwartego czy piątego zrezygnowali. Solidarność więźniów wzięła górę. W każdym razie ja trafiłem do baraku, gdzie byli... Nie wiem czy we wszystkich barakach tak było, czy tylko w tym moim. Trafiłem do baraku, gdzie była jakaś elita niemiecka. Był pan Ritter von Halt, to był szef sportu niemieckiego, przewodniczący Niemieckiego Komitetu Olimpijskiego, organizator olimpiady berlińskiej, za co dostał honorowego członka NSDAP. Mógł nie przyjąć, prawda. Tylko ja chcę widzieć takich bohaterów,

którzy nie przyjmą. Dzisiaj to można podskakiwać. A wtedy raczej u Hitlera ani u Stalina takich podskoków nie było widać. W każdym razie był członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i proszę sobie wyobrazić, był kolegą uczelnianym z Politechniki Monachijskiej z naszym przedstawicielem i szefem Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Pan pułkownik... Zapomniałem. Na „P” chyba. W 1927 roku został szefem, w 1945 roku zrezygnował. [Prezesam PKOl w latach 1921–1929 był ks. Kazimierz Lubomirski potem w latach 1929–1945 płk. Kazimierz Głabisz i o niego zapewne chodzi]. Najdłużej działającym szefem Komitetu Olimpijskiego był. Ja pułkownika tyle znałem, że należałem do drużyny harcerskiej przed samą wojną już, 84 WDH, przy AWF-ie, i myśmy mieli tam zebrania i ćwiczenia różne, a szykowaliśmy się na wyjazd na obóz, to prowadzono z nami jakieś badania, nie badania, żeby potem porównać po obozie, po miesiącu obozu, jak przyrost wagi, wzrostu i tak dalej. I tam mieliśmy różne ćwiczenia i zawody, gdzie sprawność sprawdzano nam. Bo potem, po powrocie, znów mieliśmy takie i znów sprawdzian, i porównanie tych wyników. Pan pułkownik tam przyjeżdżał, bo w 1940 roku miała być olimpiada, więc w 1939 roku już były obozy przedolimpijskie. Między innymi był na przykład obóz piłki nożnej, gdzie zaproszono Alexa Jamesa, to był taki znakomity trener angielski, on wymyślił czy też był współautorem takiego systemu WM, a tak działał właśnie jako WM, i obrona, i pomoc to samo, w każdym razie to był znakomity... Ale on miał jeszcze lepszy system przygotowania kondycyjnego. Jego ideą było, że rozpocząć trening trzeba ze zmęczonym już nieco zawodnikiem. Więc żeby zawodnik był odpowiednio już właśnie przygotowany, czyli podmęczony, to z woreczkami dwoma pięciokilowymi zawodnicy, piłkarze biegali 3 do 5 kilometrów i wtedy rozpoczynano trening. Bo jego zdaniem trzeba uczyć techniki wtedy, kiedy jest podmęczony. Bo zupełnie inaczej się zachowuje świeży, a inaczej już w połowie meczu taki zawodnik. No i Polska dzięki temu w 1939 roku wygrała z Węgrami 4:2, przegrywając do przerwy 2:0. Po prostu tam grali tacy międzynarodowi zawodnicy, Węgrzy co prawda, o doświadczeniach już międzynarodowych, zawodowych, i oni do połowy to ciągnęli znakomicie, a po połowie, a nasi dopiero zaczęli biegać. I Piątek strzelił z AKS-u, prawy łącznik strzelił pierwszego gola, a potem Wilimowski z kolei trzy następne. Ale to jest dygresja. W każdym razie pan Ritter von Halt, jak mu powiedziałem nazwisko pana pułkownika, ucieszył się, bo, mówi: „to jest mój przyjaciel, myśmy studiowali razem i do samej wojny mieliśmy kontakty i zawodowe, i rodzinne”. On przyjeżdżał do mnie, ja przyjeżdżałem do niego. No i wtedy zaczęło się, miałem już wykwiną sytuację, bo jakiś biolog z jakiegoś tam uniwersytetu przyszedł do mnie i mówi: „Słuchaj, chodź tutaj, tu jest taka tam ziółko, trawka czy diabeł wie co, jakaś roślinka, którą sobie zerwij, wyszukaj i zerwij, były te roślinki tam, i pokrój sobie, a tu masz taki nóż – blacha, jakiś kawałeczek taki blachy, wyostrzony – i sobie pokrój, i jak przyniosą zupę, to sobie do zupy wrzuc. Bo to jest witamina”. W każdym razie bardzo już miałem dobre układy z tymi Niemcami. Jednym z nich był nawet pan Anton Göring, brat stryjeczny pana marszałka Göringa, Hermana. Sądzę, że dość dokładnie rozmawiano z nim, bo miał nerki zniszczone. I umarł na nerki, na uremię. A to był generalny dyrektor takiego koncernu elektryczno-elektronicznego, AEG, Aktion Elektrische Gesellschaft. Na całe Niemcy, centrali. Potem jakiś profesor jeszcze, i z Politechniki byli profesorowie, na przykład bardzo znamienne, że oni uznawali w instytutach przemysłowych ludzi nieposiadających wyższego wykształcenia, nadawali im tytuły oficjalne profesora. Ale tylko w tym instytucie. Bo jego wiedza w ramach tego instytutu była taka, że on był profesorem. Ale tylko w tym instytucie. Tak jak u nas po wojnie byli docenci mianowani. To w instytucie, w którym go mianowano, to był docentem, a dalej to już nikt go nie traktował. Ale wracam do sprawy. Z Poznania zwolniono około dwudziestu kilku osób. Około trzydziestu nawet. Ja tylko widziałem pana Pasikowskiego, tego, który u mnie został aresztowany z tym tysiącem dolarów. Bo widziałem jak go przez bramę przepuszczano, i żaden konwój go nie prowadził, ale ani go za bramą też nie widziałem, już z konwojem. Nikogo więcej. Ale wiem, że taki ksiądz, Stępień, który jest emerytem, potem dopiero wstąpił do Kościoła i kształcił się na księdza,

w Radomiu mieszkał, pobudował tam nowy kościół i tam żyje jako emeryt. Jan Stępień. Mam jego nawet relację, z jego spojrzenia. Przekazałem to poznaniakom. Bo był u mnie ten czwarty, na „K”, Kisielnicki... Jakoś tak. W każdym razie nas w pewnym momencie, rano nakazano nam wyjść na plac apelowy, z rzeczami, wyszliśmy, sprawdzano imię, nazwisko i to oczostwo [ros. nazwisko ojca], przechodziło się na drugą stronę, za chwilę nas konwój sowiecki doprowadził do bramy i przez bramę wyprowadzono, a tam już czekał polski konwój KBW. A takim porucznikiem, bo zdawało mi się, że to kapitan, ja tam w swoich relacjach piszę, że kapitan, ale to był porucznik, jak się z dokumentów okazało. I zaprowadzono nas na rampę jakiegoś dworca, gdzie miał przyjechać pociąg przed południem i nas zawieźć do Rawicza. I tego samego dnia mieliśmy wejść do... Ale z jakichś tam względów ten pociąg został zarekwirowany przez NKWD dla innych celów i gdzieś już tak po zachodzie dobrze podjechał taki absolutnie zdezolowany, rozstrzelany pociąg. Do tego stopnia, że jeden wagon osobowy to nawet miał z boku taką dziurę jak ten stół, jeżeli nie większą. Gdzieś tam pod ostrzał się dostał, wagony te towarowe tak samo były zniszczone. W każdym razie z tego peronu uciekło około trzydziestu osób. Trzydzieści kilka nawet. Dlaczego? Na ten peron przyszły rodziny. I to się wszystko zmieszało, i ja nie wiedziałem, bo ja liczyłem, że generał Gruber, który był w Rembertowie, w Poznaniu, a potem był wyprowadzony razem z nami, liczył sobie siedemdziesiąt lat, ale wyglądał na dużo więcej. Ja mam już dziewięćdziesiąt. On w ogóle nie chodził. Ja jeszcze dwa tygodnie temu chodziłem troszkę. W ogóle nie chodził, tylko szurał tak o. I chodził wyłącznie w kaloszach, dlatego że miał tak uremię daleko posuniętą, że miał takie balony. Ja mu tam nieraz pomagałem w Rembertowie, a to ogoliłem, a to coś tam. Ale widać było, że on już słabo kojarzył nawet. A to był prezes trybunału jakiegoś, który się mieścił wtedy, przed wojną, na ulicy Miodowej, w tym niższym piętrowym domu, gdzie się obecnie mieści szkoła teatralna. Tam jest ten pałac pijarów, przedwojenny, [pałac Jana Humańskiego, przekazany zakonowi pijarów na szkołę]. tam jeszcze sprzed rozbiorów, i obok niego jest ta część niższa, gdzie jest wjazd na podwórko, do tych sal teatralnych i tak dalej. I tam na parterze był ten trybunał. I on tam był przewodniczącym. Ale już poszedł przed wojną na emeryturę, sześćdziesiąt pięć. W każdym razie ja liczyłem, że on gdzieś może uciekł, może, tego, bo go nie widziałem. Okazało się, że on wyszedł z peronów, ale to były perony towarowych ramp. I z jakąś panią wyszedł, się patrzyli tam już tak, bo myśmy tam zaczęli nawijając: „panie pułkowniku, panie majorze, panie kapitanie, panie inżynierze, doktorze, czy mecenasie”. I ta polska obstawa, która nas przejęła z obozu poznańskiego, takie strzygli uszy. I zaczęli pytać i rozmawiać z nami, każdy tam: „ja byłem tu, ja byłem tu, ja byłem tu”, i prawie że przyjaźń. W każdym razie ten porucznik, do którego ja uważałem, że jest kapitanem, on zobaczył, co się dzieje, że jego obstawa nie istnieje, że ludzie są, ale nie działają, nie będą działali, to on do nas zaapelował: „Nie uciekajcie. W Pudliszkach jest komisja, która zwalnia, większość zwalnia. Warto poczekać i żyć już na wolności, a nie pod stałym strachem”. Myślę sobie, no logicznie to wygląda, widzę, że facet ma stracha przy duszy, więc nie będzie raczej kłamał. Chociaż różnie to było z tymi panami. Oni byli tak przygotowani, że... Ale no uciekać i dokąd? Ja chciałem studiować. Wiadomo, że na studia nie pójde, jeżeli zwieję stąd. Pojechaliśmy do tego Rawicza i tu to dość spokojnie, bo już te trzydzieści parę osób uciekło, reszta, tam osiemset kilkadziesiąt, dojechała. Ile wyjechało z Rembertowa, nie wiem. Nie potrafię powiedzieć. W każdym razie jadąc z Rembertowa do Poznania w nocy, taką deszczową noc, pociąg się chyba cztery czy pięć razy zatrzymał w wyniku strzelaniny, również kilka razy słyszałem strzelaninę, ale pociąg jechał dalej, co się działo, nie wiem. Wiem tylko jedno, że potem tam rozmawiano, że niektórzy uciekali, wrywali deski i pod wagon uciekli. Ilu przeżyło, nie wiem. Ilu uciekło, nie wiem. Ilu w ogóle załadowano nas, też nie wiem. Rosjanie nie chcą oddać dokumentów, chociaż pani Grabska wielokrotnie się do nich zwracała. W każdym razie do Rawicza dojechaliśmy spokojnie i proszę sobie wyobrazić, znów w Rawiczu przygotowano nasze przyjęcie przez społeczeństwo. Z rampy idzie się do więzienia, które jest usytuowane przy głównej ulicy. Idziemy tą ulicą, a ludzie:

„tfu, tfu”, dosłownie spluwali. No to my znów uruchomiliśmy naszą zasadę: „panie pułkowniku, majorze, kapitanie i tak dalej, mecenasie, doktorze”, i znów walczymy, strzygą uszami, „A kto wy jesteście?”. No i zaczęła się gadka, za chwilę zaczęli nam ci właśnie plujący przekazywać papierosy i kanapki, które nieśli do pracy, i już sztama. Myśmy tam odpowiadali, wchodzimy do tego budynku, w którym się mieści... Wejście do więzienia w Rawiczu prowadzi przez taką bramę, przez budynek, przez środek budynku. I po prawej stronie, jak wchodziliśmy, taki stopień niziutki był, prowadzący do izby jakiejś tam, i na tym stopniu stał pan, jak się okazało potem, to był naczelnik więzienia, pan Stanisław Furmanik, podinspektor, przedwojenny kierownik tej placówki, i w pewnym momencie... Przede mną szedł akurat pan mecenas Blouche, a to był przed wojną szef polskiego więziennictwa. I pan naczelnik blachę mu bije, baczność i blacha, i proszę sobie wyobrazić, myśmy przeszli, zostaliśmy zarejestrowani, pan naczelnik sobie poprosił pana... Oczywiście pan Blouche był człowiekiem pogodnym, uśmiechnął się i skłonił głęboko panu naczelnikowi, role się zamieniły diametralnie, w każdym razie pan naczelnik poprosił pana Blouche na rozmowę, po wyjaśnieniu, kto tu jest, co zacz, uzyskaliśmy uprawnienia sprzed komuny. A pana prokuratora Blouche... Ja wszędzie piszę, w sprawozdaniach swoich, w notatkach swoich, że to był pan Blouche, bo liczyłem, że to Francuz. Okazało się, że to Czech, czesko-pochodne nazwisko, i Blouche, mam kolegę Czecha, Słowaka właściwie, który mi wytłumaczył, że to jest czysto słowackie czy czeskie nazwisko, i pan prokurator Blouche stał się przedstawicielem rajkomu [ros. komitet rejonowy partii w ZSRR], jak myśmy go nazywali. Chodził z tym szefem kluczników tej... A, nas umieszczono w tym tak zwanym czerwoniaku. To jak się z bramy wychodziło, prosto do końca, taki czerwony trzypiętrowy dom, zbudowany jeszcze za Niemców, przed I wojną światową. A po prawej stronie mijaliśmy ruiny kościoła spalonego, czy kaplicy, czy kościoła, bo tam Niemcy mieli jakieś magazyny, i Rosjanie spalili to. W każdym razie tego kościoła nie odbudowano, bo ja tam byłem w 1995 roku z ekipą filmową, Redaktor Piotrowski był, reżyserował to, i proszę sobie wyobrazić, tylko ja wiedziałem, gdzie się mieści i Rawicz, i gdzie się mieścił obóz w Poznaniu. Dlaczego? Ja od 1960 roku zacząłem pracować w Instytucie Maszyn Matematycznych Polskiej Akademii Nauk i co roku prawie jeździłem do Poznania na Targi, żeby te nowości z zakresu informatyki podglądać. Mnie interesowała organizacja pracy w ośrodkach komputerowych, co moim zdaniem jest bardzo ważne, bo tylko u nas w Polsce się nie przykłada do spraw organizacyjnych odpowiedniej wagi, co jest tragiczne w skutkach. W każdym razie w Rawiczu dzięki staraniom pana prokuratora Glouche i oczywiście za przyzwoleniem i pomocą pana naczelnika powstał nawet zespół rzemieślniczy, który przygotowywał buty, reperował, odzież reperował i przygotowywał, bo tam było trochę jeszcze takich materiałów, które zostały po niemieckim okresie. A w ogóle były warunki takie, że cela jednoosobowa, to nas było czterech. Łóżko takie wykładane, ale dość szerokie, plus jeszcze siennik był dość szeroki, Nie wiem, skąd takie szerokie siennik wykombinował naczelnik, bo wiedział, ile osób musi tam zmieścić, i jeszcze taka była decha, i dwa stołeczki, na których ta decha leżała, tak że myśmy leżeli w poprzek, oczywiście trzeba było się tam skurczyć, ale spało się zupełnie dobrze i bez wesz, bo szybko się oczyściliśmy, mieliśmy kąpiele, gorąca woda, mydło, mogliśmy się myć. Warunki jak dla ludzi. W każdym razie rzeczywiście komisja przyjechała, ale dopiero 26 września, czyli trochę dłużej to trwało niż półtora miesiąca. Ale przyjechała, tak że mnie przesłuchiowano 28 czy 29 i 30. Nie pamiętam. Dwa dni mnie przesłuchiowano, Wówczas zobaczyłem ten wyrok, który podpisałem rzekomo sam, Po rosyjsku pisany, chociaż nigdy rosyjskiego nie znałem i nie podpisywałem żadnego dokumentu. Ale uspokoił mnie ten śledczy, a to była ekipa dziesięciu śledczych po szkole Duracza, i pan porucznik Humer, późniejszy podpułkownik słynny, który tam mordował ludzi i strasznie się jakoś mścił na ludziach. Oczywiście nic nie pamiętał, nic nie wiedział, a jego ta urocza bratanica pani, Umer, która zgubiła literę „H”, Humer, śpiewa nam te kliwne pioseneczki o jesieni, o ptaszkach, o różnych... Oczywiście karierom tym ludziom na pewno w jakimś sensie takie kodeksy rodzinne troszeczkę pomagały. Dziwiłbym się, że by nie.